

Nasz rejs...

KNEZIEM DO ŚW. MIKOŁAJA

Żeby popłynąć w fascynujący rejs, nie trzeba opuszczać Bałtyku. Można lawirując wśród szkieł Szwecji i Finlandii i zwiedzając malownicze wybrzeża dotrzeć aż do... Św. Mikołaja, czyli pod koło podbiegunowe, gdzie słońce latem nie zachodzi.

Małgorzata Kozak



Kiedy zdecydowałam się w ten rejs popłynąć, nie znałam zbyt dokładnie ani trasy, ani większości załogi. Wiedziałam tylko, że organizuje go gdyński Yacht Klub Polski, a płynąć mamy *KNEZIEM* - słupem o długości 13 metrów.

Celem okazała się prawdziwa *terra incognita*. Na spotkaniu przedrejsowym dowiedziałam się, że płyniemy do Kemi i złożymy wizytę u Św. Mikołaja za kołem podbiegunowym. Na pewno mieliśmy wstąpić do Uusikaupunki. Co do reszty miejsc - to Neptun i Eol mieli postanowić, dokąd i kiedy wejdziemy.

Jacht był już sklarowany, miałyśmy tylko wspólnie z Gosią - naszym drugim oficerem, zrobić zaopatrzenie. Dwie dziewoje wiecznie się odchudzające - to nie wróżyło nic dobrego pozostałym siedmiu mężczyznom. Ale rzeczywistość przeszła ich oczekiwania. Twierdzą chętnie, że tak pysznego jedzenia nie spodziewał się żaden z nich. Jedynym niedopatrzeniem było zabranie przez nas niedostatecznej ilości cukru. W pewnym momencie musieli zadowolić się herbatą a la *KNEŻ* - słodzoną landrynkami. Oczywiście w najbliższym porcie poziom cukru na pokładzie został natychmiast wyrównany.

Alandy i Marienhamina

Gdynię opuściliśmy wieczorem, biorąc kurs na Marienhaminę na Wyspach Alandzkich. Po drodze przełamywane były pierwsze lody. Ci członkowie załogi, którzy się nie znali, „obwąchiwali” się ostrożnie. Wiatr delikatnie wiał z kierunków wschodnich. Do Marienhaminy weszliśmy po 3 dniach spokojnej żeglugi i wygrzewania się na słończku. Tu też dokonała się ostateczna integracja załogi na wycieczce do ulubionego jeziora kapitana. Namówił nas na pożyczanie rowerów i dziki rajd po wyspie Aland (30 kilometrów w jedną stronę).

Alandy są archipelagiem złożonym z około 6 500 małych wyseppek i szkierów. Prawdziwie przyjaznym miejscem dla odwiedzających je żeglarzy, którzy mają do wyboru 15

portów rozpianych na całym archipelagu. Myśmy odwiedzili głównie miasteczko na wyspach Alandzkich - Marienhaminę (Marienhamn), położoną na największej wyspie, od której bierze swoją nazwę cały archipelag - Aland. Miasteczko zostało założone w 1861 roku i jest stolicą autonomicznego okręgu pod protektoratem Finlandii. W porcie na żeglarzy czekają dwie mariny jachtowe - wschodnia (największa w tym regionie) i zachodnia, nad którą króluje bark *POMMERN* - pozostałość po flotylli Ericssona.

Na krańcach cywilizacji

Z Alandów nasz okręt wziął kurs na północ, do Kemi. Nadal bogowie mórz nam sprzyjali, wiatry południowe wiatry od 2 do 4 stopni w skali Beauforta i po trzech dniach wesołej żeglugi wylądowaliśmy w najbardziej na północ wysuniętym fińskim porcie, do którego mógł wejść *KNEŻ*. Po drodze wyłoniona została Rada Rejsu - nieformalny organ władzy (tuż za kapitanem oczywiście), której uchwały raczej nie nadają się do cytowania w druku.

Po przyplynięciu ruszyliśmy na podbój miasta zgodnie z przewodnikiem po Finlandii. Niestety, luterkański kościół wspomniany jako jeden z robiących największe wrażenie przykładów Wysokiego Gotyku w Finlandii był zamknięty. O Kemi można powiedzieć, że jest to miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Widać, że cywilizacja właśnie tu zaczyna się kończyć, a natura nie pozwala jej (może na szczęście) na dalszą ekspansję.

Rovaniemi czyli wizyta w „biurze” Św. Mikołaja

Na zaplanowaną od dawna wyprawę ruszyliśmy drugiego dnia naszego pobytu w Kemi. Wynajęliśmy samochód i drogą E75 ruszyliśmy do Rovaniemi, a stamtąd do Saarenkylä-wioski Św. Mikołaja i miejsca, gdzie teoretycznie można przekroczyć koło podbiegunowe (ustalone na 66°32'35"). Tam też mieści się



Fot. Małgorzata Kozak

Marienhamn. Tu nowoczesne promy, tam *POMMERN* - znak czasu



Fot. Lemtokura Villius Oy

biuro Świętego Mikołaja, gdzie można się z nim spotkać. Mikołaj mówi świetnie po angielsku, wie, gdzie jest Gdańsk (z Gdynią już troszeczkę gorzej). Na pytanie kolegi - jak się zostaje Świętym Mikołajem, odpowiedział, że przez 12 lat był elfem, a teraz awansował. Mikołaja fotografować nie wolno - można sobie natomiast z nim zrobić zdjęcie i je potem zakupić. Niedaleko jego biura znajduje się ogrodzenie, w którym trzymane są renifery z zaprzęgu oraz mikołajowy park rozrywki. Mikołaj obiecał, że nas koniecznie odwiedzi w tym roku podczas Bożego Narodzenia.

Z Rovaniemi ruszyliśmy drogą ku Szwecji, przejeżdżając obok rozsianych wśród lasów jeziorok-oczek. Po drodze napotkaliśmy (a właściwie one nas napotkały) renifery. Nie wydawały się zdziwione widokiem samochodu ani wybiegającymi z niego ludźmi z aparatami fotograficznymi. Lecz kiedy tylko ktoś z nas podszedł zbyt blisko, chowały się w lesie. Po jeździe, posiłku w restauracji przyszosie (spróbowaliśmy intrygującego poro, czyli kotleta z renifera) dotarliśmy do Kemi.

Uusikaupunki z Myllymakami

Następnym „żelaznym” portem w naszym rejsie miało być Uusikaupunki, do którego weszliśmy po odwiedzinach w Holmsundzie w Szwecji. O samym miasteczku wiedzieliśmy niewiele, poza tym że są tam... Myllymaki. Uusikaupunki okazało się małą miejscowością, zupełnie wyludnioną na okres wakacji, ale posiadającą dobrze przygotowaną i ciekawie położoną w samym środku miasta marinę. Panów zainteresowało muzeum starych samochodów, a wszyscy sfotografowaliśmy się z Myllymakami, które okazały się... odrestaurowanymi drewnianymi wiatrakami.

Krótkie odwiedzinny w Turku na zakupy przerwały naszą odyseję na pół dnia. Potem mając jeszcze trochę czasu w zapasie i korzystając z pięknej pogody zacumowaliśmy niczym obóz cygański między wysepkami



Fot. Malgorzata Kozak

Przed „biurem” Św. Mikołaja

o wdzięcznej nazwie Saaristomeren, leżącymi na południe od Turku. Tu przekonaliśmy się, dlaczego wszyscy bywali w tamtych stronach ostrzegali nas przed komarami. Tak wielkich, spasionych jak mój jamnik komarów dawno nikt z nas nie oglądał. Kapitan, aby przepędzić to całe tałatajstwo, podpalił jakąś szmatę znaną w którejś z zęb. Tego wytrzymać nie mogli nawet najbardziej odporni. Wszyscy wylądowali na pokładzie, a ponieważ słońce (i tak raczej nie zachodzące w tamtych okolicach o takiej porze roku) świeciło coraz mocniej, wszyscy (a przynajmniej większość) poszli się kąpać.

A w Gdyni...

Do Gdyni wracaliśmy około 3 dni, które przeszłyby właściwie wesoło, ale bez większych wydarzeń, gdyby nie rozbita głowa jednego z naszych załogantów (blok od baksztagu był „nieco” zużyty i odpadł od pokładu przy wybieraniu). Na szczęście wszystko skończyło się niewielką blizną na czole. Do Gdyni przybyliśmy pod wieczór i nagle przykra niespodzianka - wszystkie kluby zamknięte, przy kei nie ma ani ubikacji (do 15.00), ani prysznic (nie wspominając o saunie). A wszyscy, jak to z reguły przed portem, obiecywaliśmy sobie białą porcelankę, ciepły prysznic, a tu nic.

Nasz rejs trwający prawie trzy tygodnie zakończył się zbyt szybko - trzy tygodnie zleciały niczym trzy dni.

Rys. Marek Strauchold

